Nr. 37. Rok 13.

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 12. Września 1846.

W tych dniach (*) umarł Dr. *Karól Marcinkowski*, mąż niespracowany, który swe życie w najściślejszém znaczeniu dla dobra ogółu poświęcał. Nie wiek bowiem, ani słabowitość, lecz nadzwyczajne natężanie sił przecięło zbyt prędko pasmo dni Jego. Żyjąc wyłącznie dla drugich, nie znał wcale rozkoszy światowych, chociaż Mu się tysiączne sposobności podawały. Gardził bogactwy i wygodami, choć z łatwością mógł zbierać tysiące; gardził zabawami, choć go każda familia pragnęła i na rękach by Go niosła, gdyby się pokazał; gardził wreście zaszczytami, choć je łatwo mógł pozyskać, byleby się o nie starał. Słowem, był to mąż rzadki. Nie znając wcale ponęt świata materyalnego, żył samą szlachetnością. Z sercem, które tylko poświęcenia pragnęło, i rozumem, który jasno potrzeby kraju pojmował, łączył żelazną wolę. Dla tego cokolwiek w duszy Jego powstało, zostało urzeczywistnione, a jeżeli okoliczności były po temu, iż ich nie mógł zwalczyć, w ten czas jeszcze większa boleść panowała w Jego duszy, niżeli radość, gdy dopiął swego celu. Nie z próżności to jednak pochodziło, lecz z szlachetnego zapału a razem gniewu, że czyn dobry owoców wydać nie może. Śmierć takiego męża jest stratą niepowetowaną. Kto ma serce prawe i szlachetne, kto kocha swój kraj, ten uczuje tę wielką klęskę; lecz nie łzami oddajmy Mu ostatnią cześć; mąż czynu wymaga i od nas czynu. Dość długo zapatrywaliśmy się na Jego życie pełne poświęcenia; pokażmy teraz, że Jego praca nie była bezowocną, że duch Jego i nas owiał. Niechaj nas połączy jedność, niechaj każdy z nas poświęca się wedle sił dla drugich, a duch Marcinkowskiego wiecznie nam towarzyszyć będzie.

(*) Dr. Karól Marcinkowski umarł dnia 7go Listopada r. b. o godzinie 10téj z wieczora w Dąbrówce. Późniéj umieścimy w naszém piśmie całkowity obraz życia Marcinkowskiego.

Uwagi nad Towarzystwem Naukowéj Pomocy W. x. Poznańskiego.

Żyjemy w czasach, w których dla dobra powszechnego poświęcać się powinniśmy. Tę potrzebę widzi każdy tak jasno i tak ją uznaje, iż nie masz prawie człowieka jakokolwiek oświeconego, któryby nie prawił o poświęceniu. Lecz jeżeli inne narody mają liczne powody do niego, jeżeli zmiana stósunków socyalnych bez niego obyć się nie może, u nas szczególniéj znajdziemy tyle bodźców do poświęcenia, iż chcąc pełnić obowiązki życia socyalnego, któreby sprawę całego narodu popierało, nie za potrzebę, lecz za świętą uważać musimy powinność, abyśmy w całym biegu naszego życia ofiary dla dobra drugich składali. Mieszkańcy W. x. Poznańskiego dowiedli założeniem wielu towarzystw, które do polepszenia bytu i stanu uboższych klass dążą, iż pojęli potrzebę czasu. Towarzystwo Naukowéj Pomocy góruje nad wszystkiemi, o niém więc szczególniéj pomówić wypada. Nim jednak do uwag moich przystąpię, nie będzie zapewne od rzeczy, przytoczyć wstęp sprawozdania dyrekcyi Towarzystwa Naukowéj Pomocy z piątego roku istnienia za czas od Śgo Jana 1845 roku do Śgo Jana 1846 roku, zwłaszcza, że się ztąd przekonamy o stanie i duchu tego towarzystwa. Oto są słowa dyrekcyi:

„Pięć lat już minęło, Szanowni Członkowie, od czasu zawiązania się Towarzystwa Pomocy Naukowéj. Wypełniliśmy niemal wszyscy sumiennie pierwsze zobowiązanie się nasze, przykładając się bądź to datkiem, bądź to czynnością, do kształcenia ubogiéj młodzieży, któraby kiedyś potrzebom krajowym swą nauką i zdatnością w pomoc przyjść mogła. Wszakże usiłowania nasze nie były nadaremne, zasiew bujny obiecuje, przy dalszém staraniu, obfite żniwo. Udało nam się w uboższéj klassie ludu obudzić chęć do nauk i przekonanie o konieczności wyższego wykształcenia; znaczna jest liczba zgłaszających się o wsparcie, których dla szczupłości funduszów naszych uwzględnić już nie możemy. Po Uniwersytetach, po zakładach naukowych i przemysłowych zagranicznych, we wszystkich prawie Gymnaziach i Seminaryach nauczycielskich Xięstwa naszego, sposobi się wsparta naszémi zasoby i pod opieką naszą, liczna młodzież, rokująca na przyszłość jak najpiękniejsze nadzieje. Wydobyliśmy ją z zapomnienia, skierowaliśmy na drogę oświaty, a nie jeden zapewne z wychowańców naszych wynagrodzi krajowi sowicie dług, który teraz zaciąga. — Lecz wytrwać nam trzeba w przedsięwzięciu, jeśli zbierać chcemy owoce, jeśli z usiłowań naszych błogi ma skutek wyniknąć i kraj z tak dobroczynnego zakładu korzystać. Zobowiązaliśmy się wprawdzie na pięć lat tylko do téj pracy około publicznego dobra, lecz pięć lat, jest zakres zbyt mały w tak rozległym zawodzie; ledwośmy nasienie rzucili, — należy teraz młodą latorośl pielęgnować i podsycać, aby drzewem wyrosła. — Młodzież nasza jest po części na początku wytkniętego toru, nie wielu jeszcze doszło środka, a mało kto w tak krótkim czasie zdążył do kresu. Czyż podobno, abyśmy jéj naraz usunęli opiekuńczą rękę, abyśmy ją teraz puścili na los niepewny, wyrwawszy ją z dawniejszych stósunków, wprowadziwszy ją w świat dla niéj obcy, — w chwili właśnie, kiedy najwięcéj potrzebuje opieki? Wiemy, Szanowni Członkowie, znając szlachetne Wasze uczucia, iż żaden z Was nie zechce zawieśdź nadziei i zaufania, które w nas uboga młodzież pokłada, iż żaden z Was nie opuści tych, których losem się zajął, i że każdy będzie uważał za świętą powinność, nie ustawać na pół drogi i do samego ostatka wypełniać to, co jest z pożytkiem i korzyścią dla kraju. — Oświata w naszych czasach, więcéj niż kiedykolwiek, jest zasadą i niezbędnym warunkiem istnienia narodów, — każdy z nas wie to i czuje, nie znajdzie się więc z pewnością żaden między Wami, Szanowni Członkowie, któryby się wzdrygał choć małą ofiarą być nadal jeszcze uczestnikiem wielkiego dzieła rozszerzania oświaty między ludem naszym. Po dwakroć odezwaliśmy się już, wyłuszczając konieczność powtórnego pięcioletniego zobowiązania się składkujących, i przekonani jesteśmy, że wzywania i prośby nasze nie będą głosem wołającego na puszczy, albowiem, skoro chodzi o sprawę publiczną, o korzyść krajową, obywatele skąpić poświęcenia nie będą i nie mogą. — Rozpoczęte dzieło nie skona w zawiązku, Towarzystwo nie upadnie z winy naszéj, a potomkowie nie będą nas obwiniać o oziębłość, egoizm i opieszałość w wypełnianiu najistotniejszych obowiązków! Wzywamy przeto raz jeszcze, Sza-

nowni Członkowie, tych z pomiędzy Was, którzy dotychczas sumiennie uiszczali się z obowiązków swoich, aby i na przyszłe lat pięć wytrwali; tych zaś, którzy zalegli w opłacie, aby pomni na świętość danego przyrzeczenia i publiczny interes, uiszczali się w składaniu wdowiego grosza.“

Daléj przytaczam z tegoż sprawozdania listę stypendyatów, którzy w roku $18\frac{45}{46}$ wsparcie pobierali.

Nro. kolejny.	Wyszczególnienie Instytutu.	Na końcu roku $184\frac{4}{5}$ pozostało Stypendyatów.	W ciągu roku $18\frac{45}{46}$ przybyło	ubyło	pozostało w końcu roku
1	Na Uniwersytecie w Berlinie	5	5	7	3
2	Na Uniwersytecie w Wrocławiu	14	7	4	17
3	Na Uniwersytecie w Królewcu	—	2	—	2
4	W Gymnazium Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu	64	24	33	55
5	W Gymnazium Fryderyk. w Poznaniu	1	—	1	—
6	W Gymnazium w Lesznie	11	3	4	10
7	W Gymnazium w Trzemesznie	22	3	12	13
8	W Gymnazium w Bydgoszczy	1	2	1	2
9	W Gymnazium w Ostrowie	1	19	1	19
10	W Gymnazium w Chełmnie	6	1	4	3
11	W Seminarium Nauczycielskiém w Poznaniu	54	28	22	60
12	W Seminarium Nauczycielskiém w Paradyżu	19	8	7	20
13	W Seminarium Nauczycielskiém w Trzemesznie	11	3	6	8
14	W szkołach przygotowawczych	37	1	25	13
15	Do wyższego przemysłu sposobiących się . .	6	4	5	5
16	Rzemiosł uczących się	20	2	10	12
	Razem	272	112	142	242

Z tego wszystkiego się przekonywamy, że zakres działania Towarzystwa N. P. jest bardzo obszerny, że wpływ jego może wywołać skutki, które się obrachować nie dadzą. Lecz abyśmy sprawę tego stowarzyszenia lepiéj pojęli, trzeba nam się zastanowić nad jego celem. Wedle statutów ma pobierać wsparcie każdy, który posiada zdolności, jest pilnym i moralnym, a przytém ubogim. Jasno więc widzimy, że Towarzystwo nie wyklucza żadnego stanu, a nawet wyznania; daléj, że nie jest towarzystwem miłosierném, które nędzy zapobiedz pragnie; słowem, że zajęło stanowisko wyższe, dążące do wzniesienia oświaty.

Zaprzeczyć nie możemy, że liczba gruntownie wykształconych jest u nas nader szczupłą. Czy to w zawodzie naukowym, czy przemysłowym, widać brak ludzi zdatnych. Skąd to pochodzi? Przyczyna jasna. Jak wszędzie, tak i u nas klassa bogatsza do nauk mniéj się przykłada. Zaślepiona majątkiem, nie widzi potrzeby, aby się mozoliła. Nauki jak przemysł łączą się z wielu trudami i przykrościami; trzeba pilnie pracować, trzeba w tém wytrwać, trzeba wreście zrzec się wielu przyjemności światowych. Na cóż się panicz ma wystawiać na takie przykrości, kiedy mu się uśmiecha życie wygodne, wesołe, rozkoszne, kiedy zamiast po cierniach, po różach chodzić może? Dla tego téż rodzice téj klassy równie jak ich dzieci starają się jedynie o takie wykształcenie, aby odpowiadało blaskowi ich pożycia domowego; nie gruntowne, lecz różnorodne nauki, aby niemi w salonach błyszczeć i na wiatr rozprawiać można, są upragnionym celem naszych panów. Porównać więc ich możemy z ludźmi, którzy wprawdzie nie grzeszą, lecz téż nic dobrego nie czynią, a jak tych moralnymi, tak owych oświeconymi nie nazwiemy, bo prawdziwa oświata musi wydawać owoce, musi nadewszystko być bodźcem do poświęceń, aby nasze życie nie spełzło na samych zabawach i wygodach dla naszego ciała, lecz było razem naznaczone czynami dla dobra ogółu. Z téj więc klassy nie może się świat spodziewać wielkiéj pociechy; jest to rzadki wyjątek, jeżeli się wśród niéj ukaże człowiek gruntownie wykształcony, mający oraz niezłomną chęć pracować dla szczęścia drugich.

Zkąd więc wziąć ludzi zdatnych? Z tych samych klass, z których w innych krajach biorą, t. j. uboższych, a przedewszystkiem z stanu miejskiego i kmiecego. Na nieszczęście znajdują się u nas równie mieszczanie jak chłopki w takiéj nędzy i takiém poniżeniu, że z tych nikt, a z owych bardzo mało jest w stanie dać dzieciom wyższe wykształcenie. Pozostaje tylko zubożała ślachta, lecz codzienne doświadczenie nas uczy, że dotąd, pomimo tylu klęsk, które na ojczyznę naszą się zwaliły, nie doszła do tego uznania, że zatrudnienia miejskie

jéj nie shańbią, że jéj klejnot ślachecki nie będzie splamiony, chociaż osiądą pomiędzy mieszczanami i z nimi się pobratają. Ich pycha tak się zakorzeniła, że zdaje się, jakoby téj głupoty żaden czas wytępić nie był w stanie.

W takim stanie rzeczy nic innego uczynić nie wypadało, jak stowarzyszyć się, aby obmyśleć środki, jakby klassom uboższym można przyjść w pomoc, aby indiwidua uzdatnione wydobyto i stósownie wykształcono. Tę myśl pojęli Wielkopolanie i z zapałem wykonali. Lecz na nieszczęście stygnie u nas zapał zbyt prędko. Już w pierwszych latach zawiązania dały się słyszeć liczne nagany, było wiele niezadowolonych, a nawet takich, którzy żałowali, że do niego przystąpili. Dziś jeszcze gorzéj. Niestety! mamy ludzi, którzy nie tylko Towarzystwo potępiają, ale nawet śmią mu przypisywać dążność złą, ku zgubie stósunków towarzyskich zmierzającą. Być może, że zarząd Towarzystwa popełnił błędy, które spełnienie celu opóźniły; lecz w takim razie trzeba wystąpić jawnie i wykryć wszystko, aby można złe naprawić. Takie postępowanie jest ślachetne i na wdzięczność narodu zasłuży; lecz pokątne szemranie jest hańbą, jest zdradą najświętszéj sprawy. To ohydne zdanie mogło tylko powstać z samolubstwa, z obawy, aby nie odkryto słabych stron, aby nie przestano czołem bić przed blaskiem, który dotąd ubogie klassy odurzał. Kto rozumie, że towarzystwo zmierzające do podniesienia oświaty pomiędzy ludem zgubne może wydać owoce; nie wart, aby się mieścił pomiędzy oświeconymi. Lecz zapewne mało takich samolubów. Mieszkańcy W. x. Poznańskiego pojmują ślachetny cel Towarzystwa N. P. i dla tego dołożą wszelkich sił, aby ono nietylko nie upadło, ale raczéj coraz bardziéj kwitło. Niechaj każdy choć z małym datkiem do niego przystąpi, a gdy wspólnémi siły działać będziemy, zrównamy się w oświacie reszcie Europy. W ten czas powstanie współubieganie pomiędzy naszymi obywatelami, a różnice stanów, które nas dotąd gubiły, znikną, a ślachcic, mieszczanin, kmieć będą jeden lud, jeden naród.

Szklanny człowiek.

(Ciąg dalszy.)

Jakiś czas przyjaciele trzymali go pod kluczem; lecz przekonawszy się, że szaleństwo nie miało końca, postanowili dogodzić jego fantazyi i puścić na wolność. W rzeczy saméj, biedny szaleniec ujrzawszy się bez dozoru i na wolnéj stopie, zaczął wałęsać się po mieście obudzając litość w tych, co go dawniéj znali przy zdrowych zmysłach. Skoro się pokazał, zgraja pauprów i żaków, zwabiona dziwactwem jego ubioru i wyrażeń, chmarami latała za nim. On ich jak mógł odpędzał swoją laseczką, i uprzejmie prosił by doń z daleka mówili, ostrzegając, że za lada dotknięciem stłuc się może. Ulicznicy, plemie najnielitościwsze i najpsotniejsze, tém bardziéj na złość zaczęli dokuczać, rzucając nań drzazgami a nawet kamykami; co sprawiało, iż nieszczęśliwy krzyczał w niebogłosy, wzywając litości u starszych i poważnych osób, które zwykle pobudzone litością nad jego stanem, ujmowały się za nim, i rozpędzały złośliwą rzeszę.

Lecz biedny szaleniec znalazł inny sposób uwolnienia się raz na zawsze od psotnych dzieci. Od chwili jak przyszedł był do zdrowia a stracił rozum, wróciły mu wszystkie nawyknienia lat dziecięcych; równo z drugiemi dziećmi grywał w zająca, przesypywał piasek, stawiał młynki na strugach i przez to jednał sobie ich przyjaźń. W rozmowie zaś jego nie mniejsza zaszła odmiana; nie wdawał się w żadne rozumowania i długie wywody, ale zwyczajem ludu odpowiadał na wszystko przysłowiem, których miał zapas niewyczerpany; prawie jak ziarna różańca sypały się z ust jego jedne po drugich. Nowy ten rodzaj dziwactwa zwrócił nań uwagę powszechną. Ulicznicy przestali go zaczepiać, woląc wyciągać go na rozmowę, niż kamykami nań ciskać, a wiele poważniejszych ludzi szło za nim z ciekawości słyszenia osobliwych rzeczy, które prawił. Kilku z professorów, jak powiadają, nie miało sobie za ubliżenie, zbierać zdania jego, i pisać rozprawy o filozofii ludu. Kto wié, ażali zbiór przysłów starych Rysińskiego nie powstał tym sposobem.

Pewnego dnia ktoś go zagabał tém pytaniem: Mości doktorze, dla czego zawsze mówicie przysłowiami, a nie jak drudzy? — Przysłowia — odparł szaleniec — są to krótkie maxymy, zebrane z długiego doświadczenia. Od czasu Króla Salomona były i będą zawsze mądrością narodów. Jako istota odmiennéj natu-

ry, niż zwykli ludzie, nie mogę mówić zwykłym językiem. Z resztą kto odpowiada, ten nie mówi; odpowiadam krótko a węzłowato; dobréj głowie dość pół słowie. — Zgadzam się mości doktorze — mówił daléj pytający — wszelako chciéjcie mi powiedzieć, na czém szczęście zawisło? — Na czém je zawiesisz. — Co trzeba robić, aby dostąpić mądrości? zagadł student. — Pamiętaj, odparł zapytany — że trzy wiele a trzy mało o zgubę nas przyprawiają: wiele mówić a mało wiedzieć, wiele wydawać a mało mieć, wiele o sobie rozumieć, a mało wartać. — A teraz powiedzcie mi, pytał kupiec wychodzący z kramu, co robić, aby być bogatym? — Nic łatwiejszego, odrzekł pan Józef — nie ten ubogi, kto mało ma, ale ten kto wiele pragnie. Z resztą wiele jest sposobów zbogacenia się: Spadnieli na ciebie dziedzictwo, podziel się po bratersku, moje dla mnie, a twoje dla mnie i dla ciebie; maszli urząd publiczny, pilnuj przysłowia: „Kto smaruje ten jedzie.“ W handlu zaś zbieraj jak kura ziarnko do ziarnka, a będzie miarka. To najpewniejsza recepta, bo kto chce być za rok bogatym, w pół roku może pojść na szubienicę.

Innego razu przybiegł doń zapłakany wyrostek i pytał o radę: Panie doktorze, ojciec mię bije za lada co, nie wytrzymam dłużéj i ucieknę z domu. — Broń cię Boże, mój chłopcze; nikogo nie znieważa ręka ojcowska, ale katowska. Klacz kopnie źrebię i nic mu. Chciałżebyś zostać włóczęgą? Pamiętaj: Od rzemyka do nożyka, a od nożyka na haczyk. — I kiedy mu dawał tę przestrogę, nadbiegł ojciec szukający syna: Mospanie, — wołał nań pan Józef — pamiętaj Waść ilekroć na dziecko rękę podnosisz: że pod kijem dobry staje się złym, a zły gorszym.

Ledwie ojciec oddalił się z synalem, zbliżył się jakiś człowiek w podeszłych latach i zapytał z niejaką tajemniczością: Jaką radę i pociechę mam dać jednemu z moich przyjaciół, którego żona z drugim uciekła? — Powiedz mu — odrzekł pan Józef, — niech zmówi pacierz i podziękuje Bogu, że w miłosierdziu swém ulitował się nad nim i uwolnił dom jego od takiego nieprzyjaciela. — A więc nie powinien ją odbierać? — Niech go Bóg broni; jeżeli odbierze, będzie miał na całe życie niepozbytego świadka swojéj hańby. — Mości doktorze, — mówił znowu przyjaciel skrzywdzonego męża, kiedy o téj materyi mówimy, powiedz, czy mi się żenić wypada? — Tobie! odparł zapytany, — tobie siwy gołąbku? Pamiętaj, że starzec zakochany, to kwiatek zimowy. Prawda, że to w starym piecu często diabeł pali; a jeśli trudno stare słomsko zapalić, jeszcze trudniéj ugasić. — Żarty na bok, mości doktorze; ale ta, którą chcę pojąć, jest osobą równego prawie ze mną wieku. — W takim razie — odrzekł pan Józef — jeżeli lubi się mizdrzyć i pragnie się podobać, powiedzą o niéj: kiedy baba puści się w tany, więcéj robi kurzawy niż młoda; jeżeli zaś nie swojemi tylko cudzemi będzie się zajmować miłostkami, powiedzą: gdzie czart nie może, tam babę poszle.

Przysłuchująca się téj rozmowie zamężna białogłowa zagadła: cóż trzeba, aby utrzymać małżonka w statecznym afekcie? — Mało mówić; albowiem dym i świegotliwa niewiasta wypędzają męża z domu; a jak drzwi, które nie skrzypią, tak i niewiasta, która milczy, najprzyjemniejsza; dużo pracować; próżnująca niewiasta zawsze w złéj koszuli chodzi; zawsze być słodką; dmuchając z węgla dobywamy płomień, a gniew z przykrego słówka; nakoniec strzedz się złéj okazyi; strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Dobra nauka dla małżonki, wtrącił któryś z słuchaczy, teraz prosimy dla męża. Co powinien robić, aby dobrze żyć w tym stanie? — Niech pozwoli żonie wszystkim rozkazywać w domu; a zabroni rozkazywać sobie; złe bowiem gospodarstwo, gdzie kądziel przewodzi nad mieczem. Jeżeli zaś chce zasiągnąć jéj rady, niech pamięta na to słowo: Trzymaj się zawsze piérwszego zdania swojéj żony, a nigdy drugiego. Jeżeli ma tajemnicę sobie powierzoną, nie powinien zapominać téj maxymy: Maszli złą żonę, nie dowierzaj jéj, maszli dobrą, nie powierzaj nic. Powiadają: Na pochyłe drzewo i kozy skaczą, lecz kiedy garnek wre i mucha boi się przybliżyć. Z resztą nie broń białogłowie uczciwéj rozrywki; w czasie nudów, diabeł podsuwa złe rady.

Odgłos o osobliwszém szaleństwie naszego doktora, o jego dowcipie i bystrości, które zachowywał nawet przy stracie rozumu, a nadewszystko trafne odpowiedzi przez przysłowia sprowadzające, natłok ludzi wszelkiego stanu, rozszedł się széroko, a nawet i do dworu, tak

dalece, że jeden z pierwszych panów zapragnął go mieć przy sobie, i w tym celu posłał swego dworzanina, aby go przemówił. Dworzanin spotkał naszego doktora na ulicy i rzekł doń: Panie doktorze, mój pan, kanclerz koronny, pragnie cię mieć u siebie. — Wybacz mi waszmość — odparł doktór, ale nie mogę; zawsze słyszałem: Na wielkim panu i na staréj poręczy nie spieraj się. — Ależ mój pan jest z rodzaju tych ludzi, którym zaufać można. — Może to być; z tém wszystkiem łaska pańska na pstrym koniu jeździ; a kto wlizie między wrony, musi krakać jako ony. Z resztą jakkolwiek chudy ze mnie pachołek, Pan Bóg mię na mojém miejscu postawił; a i kura śmielsza na swoich śmieciach. Jakżeżbym śmiesznie wyglądał przy tak wielkim panu? Za wysokie progi na moje nogi; Król sobie Królem w Warszawie, a ja w Nieświeżu.

Po długich ceregielach udało się nakoniec dworzaninowi przemówić doktora. Kanclerz mieszkał o kilka mil na zamku swoim. Podróż ze szklannym człowiekiem nie mało nastręczała trudności. Wynaleziono jednakże dowcipny sposób; oto urządzono lektykę, w którą nakładłszy siana i powstawiawszy butelki i szklanne naczynia, wsadzono w nią doktora, i tak skłoniono do podróży w towarzystwie przedmiotów, równie jak on podpadających stłuczeniu. Kiedy przybyli na dziedziniec zamkowy, wyszedł kanclerz i powitał gościa: Jakżeż droga służyła mości doktorze? — Każda droga dobra, kiedy się skończy, — odparł pan Józef — prócz drogi wiodącéj na szubienicę. — Tutaj będziesz mógł sobie żyć spokojnie — wtrącił kanclerz — będę się starał, by ci i ptasiego mléka nie brakło. — Radość z mego przybycia — odrzekł gość — zapewne nie długo potrwa; albowiem we trzy dni gość i ryba cuchną.

Owoż szklannego człowieka przyjął kanclerz bardzo uczciwie, dając mu wszelkie wygody w pałacu i najobszerniejszą wolność, która jest najdroższym klejnotem gościnności. Jak w stolicy, tak i tutaj chodził sobie swobodnie, wstawał, jadł, spał, kiedy mu się podobało, i zawsze widział koło siebie liczne towarzystwo, albowiem, zwyczajnie jak na dwór kanclerski, zjeżdżało się mnóstwo osób mających rozliczne sprawy, i szukających protekcyi do różnych dygnitarstw i urzędów. W téj liczbie cisnących się do dworu, postrzegł pewnego Wielkopolana z wygoloną czupryną, najeżonym wąsem, z niezmiernie szerokiemi cholewami, i zawiesistą karabelą u boku, na któréj się wspierał, a zadarłszy głowę do góry, zdawał się wszystkich rozumem i dostojnością przenosić. — Mości dobrodzieju! — zagabał go doktór — waszmość zapewne z daleka przybywasz; może panny poważnéj szukasz? W takim razie, kto daleko jeździ za żeniaczką, albo chce oszukać, albo być oszukanym. — Mylisz się mój doktorze — odparł szlachcic — przybywam starać się o urząd. — Na to możnaby odpowiedzieć: Kto wełny szuka, wraca częstokroć ostrzyżony. — Co tego, to się nie boję, mój mości bakalarzu! — przerwał zajędyczony szlachcic mierząc go pogardliwym wzrokiem, — spodziewam się, że pan kanclerz oceni moje zasługi i że mi przodek da przed tysiącem innych. — Dobre rozumienie o sobie, połowa szczęścia; — tylko to biada, że z pustéj stodoły nie wyleci chyba wróbel lub sowa. — Napuszony szlachcic już się porwał do korda, ale obecni zasłonili biednego szaleńca, przycinkami okrywając szlachcica, który, czapkę nasadziwszy na bakier, mruknął coś pod nosem i odszedł.

(Dokończenie nastąpi.)

Pani Dziubińska. (*)

(Nadesłano.)

Znana powszechnie u nas z niesłychanie wielkiego dowcipu Pani Dziubińska, pomnożyła świeżo literaturę polityczną dziełkiem bardzo ważném, godném umieszczenia obok nieśmiertelnych dzieł tego rodzaju Adama Gurowskiego. Dziełko to nosi tytuł: *„De la Russomanie dans le grand duché de Posen.“* Dowcipna i nader uczona autorka przypisuje w niém wszelkie ślachetne usiłowania ślachty od r. 1791. chęci pognębienia chłopów. Mościa Pani Dziubińsko! czy przypominasz téż

(*) Uznając słuszność krytyki, która w dodatku do Gazety W. x. Poznańskiego w Nrze. 250. umieszczoną została, dogodzimy zapewne życzeniu czytelników Przyjaciela Ludu, gdy ten artykuł i w naszém piśmie wydrukujemy. Pisemko Eugeniusza Brezy: *„De la Russomanie dans le grand duché de Posen“* musi nas oburzyć i dla tego warto przeczytać o niém sąd należyty.

Przyp. redakcyi.

sobie staropolskie przysłowie: Kto w piecu lega, ten ożogiem bliźniego w nim szuka? Cobyś sama robiła (sądząc z twojéj przewrotności), gdyby ci Opatrzność jaką wioskę na Wołyniu lub Podolu dała, to sądzisz, że wszyscy gotowi są czynić. U ciebie mała tylko liczba prawodawców konstytucyi 3. Maja była za ulżeniem losu chłopków. Jakimże się więc sposobem stało, powiedz, że w wiekopomnéj konstytucyi téj, którą nawet Burke podziwiał, opieka prawa rozciągnioną została na chłopów, gdy większość tego sejmu była przeciw ich emancypacyi? Czy twoja dobrze myśląca mniejszość (zapewne Ankwicze, Gurowscy i t. d.) tak silny wpływ na sejm wywierała, że i źle myślących ku swym widokom względem ludu wiejskiego pociągnęła? Daléj utrzymuje Pani Dziubińska, że konstytucya 3go Maja nie była dziełem odrodzenia Polski, ale tylko po prostu demonstracyą polityczną w celu pozyskania sympatyi Anglii i Francyi; ujarzmiająca chłopów Pani Dziubińska, kokietka z urodzenia, umizgająca się w téj chwili może do jakiego księcia, sądzi z siebie o całym narodzie. Niech zajrzy w dyaryusze sejmu wielkiego, niech przebieży wszystkie uchwały na nim zapadłe, a przekona się, że nie tylko sejm wielki, ale całe panowanie Stanisława Augusta zmierzało do odrodzenia narodu, do zrobienia go światłym, cnotliwym i potężnym. W czasie, gdy w całéj Europie przesądy średniowieczne panowały, gdy chłop wszędzie (nie tylko u nas) był niewolnikiem, w czasie, mówię, gdy w całéj Europie nie tylko chłopu, ale i mieszczaninowi droga zagrodzoną była do wyższych urzędów, gdy w wojsku cudzoziemskiém oficerem mógł być tylko *von*, czyli ślachcic, gdy w całych Niemczech były Ritter-akademien, wyłącznie dla dzieci ślacheckich ustanowione i t. d., u nas wychowaniem publiczném, otwartém dla wszystkich stanów, a zatem i dla chłopów, zajmował się i kierował rząd, i wszystkie stopnie w służbie publicznéj, cywilnéj i wojskowéj były dostępne dla nieślachty, a zatem i dla chłopków. Wielu też z ostatnich piastowało za Stanisława Augusta znaczne urzędy, między innymi Sikorski był sekretarzem wielkim koronnym. Ja sam znałem starca z tego stanu, niejakiego P. Jaworskiego, który był rejentem grodzkim. A Pani Dziubińska przypomni sobie może urzędnika z dawnych polskich czasów, Xiędza Staszyca, którego całe życie, acz pochodził z stanu wiejskiego, zmierzało do tego samego celu, co ślachta. On, człowiek cnotliwy, głęboko uczony, przyjaciel ludu i równości wszystkich w obliczu prawa, nie musiał tak złych zamiarów względem chłopów w ślachcie polskiéj dostrzegać, gdy jéj uczucia w odzyskaniu niepodległości ciągle podzielał. Ależ Pani Dziubińska mędrsza jest nad Staszyców. Ona wie nawet to, czego na świecie nigdy nie było. Wiecie też, Szanowni czytelnicy, czém Pani Dziubińska Targowicę mieni? Oto trzecią częścią sejmu wielkiego. Jeżeli nie wierzycie, przytoczę tu jéj własne słowa, pag. 6.: „Une troisième partie de l'assamblée, celle qui s'est confederée à Targowica.“ Daléj dowodzi pani Dziubińska, że Napoleon (którego, nie wiem dla czego, zaniechaném nawet od nieprzyjaciół tego wielkiego męża, nazwiskiem Bonaparte nazywa) dla otrzymania żeru dla armat (przenośnia godna takiego pisarza, jakim jest Pani Dziubińska) i furażu, zniósł w r. 1807. niewolę chłopów, która już od r. 1794. w Prusach południowych rzeczywiście nie istnęła. (?) Wiedzieli (podług Pani Dziubińskiéj) dobrze o tém dworacy polscy na dworze Napoleona, ale tam można było zyskać ślufy, dotacye i popularność i z resztą dogodniéj im było rządzić krajem zostającym w powstaniu, niż w dobrze już urządzonym, i dla tego też otoczyli chorągwie trzykolorowe z entuzyazmem, posuniętym aż do śmieszności. Jakże nikczemną trzeba mieć duszę, do jakiego stopnia być głupim, aby utrzymywać, że czcigodni mężowie, jakimi byli: Xiążę Józef Poniatowski, Małachowski, Potocki, Dąbrowski, Wybicki, Staszyc, Woronicz i tysiące innych, z całym narodem dla tego otoczyli chorągwie trzykolorowe z entuzyazmem, aby zyskać ślufy i dotacye! Pani Dziubińska pisała niegdyś pochwały żydów, zapewne przejęła się duchem ludu, u którego najwyższém dobrem cielec złoty. Ale coby jéj powiedzieli na to Niemcy, gdyby im się wyrwała z podobnie niegodziwém zdaniem: że Blücher, Scharnhorst, York, Bülow i t. d. otoczyli w roku 1813. dla tego chorągwie Alexandra, że od niego mogli się spodziewać orderów, dotacyi i t. p.? Czy Pani Dziubińska potwarzając tak bezecnie wielkich i cnotliwych mężów swego narodu, pomyślała o podobnym stósunku Niemiec w r. 1813.? — W dalszym

ciągu swego pisemka utrzymuje Pani Dziubińska, że cesarz Alexander uprzejmością swoją i orderami tak zawrócił głowy ślachcie Litewskiéj w r. 1812., iż gdy wojsko francuzkie do Wilna weszło, natworzono wielu pułkowników, adjutantów, muzykantów, ale nie było żołnierzy prostych. Pani Dziubińska była w r. 1812. roztrzepanym bębnem, nie dziw zatém, że nie sięga pamięcią po rok 1812., ale powinna się była od starszych od siebie dowiadywać o stanie rzeczy w tym roku, albo przynajmniéj czytać ówczesne pisma peryodyczne, które byłyby ją nauczyły, że w r. 1812. taki sam zapał pokazał się w Litwie, jaki był w r. 1806. w Wielkiéj Polsce; że wielkie mnóstwo młodzieży Litewskiéj wstąpiło do pułków Xięstwa warszawskiego, że uformowano kilka pułków kompletnych pieszych i jezdnych, a między innymi ów piękny pułk gwardyi Litewskiéj Napoleona pod dowództwem walecznego generała Konopki, którego niedobitki widziano nawet w Poznaniu, idące w r. 1813. do Francyi. — Po nieszczęśliwéj wyprawie Napoleona do Moskwy w r. 1812. — (zarzuca Pani Dziubińska swoim ziomkom) — Polacy nie robili żadnego usiłowania, aby się oprzeć inwazyi wojsk rossyjskich, posłali liczne deputacye do Alexandra, aby Polskę przyjął w swą opiekę i wszyscy ministrowie, wyjąwszy Stanisława Brezy, poddali się Alexandrowi wpierw, nim ich król Saski od przysięgi uwolnił, czyli wyraźniéj mówiąc, byli krzywoprzysiężcami. Ile wyrazów w tym okresie dziełka Pani Dziubińskiéj, tyle kłamstw, potwarzy, niedorzeczności. Księstwo warszawskie złożone w r. 1812. z 4ch milionów ludności, wyprowadziło na linią bojową 90,000 wojska, przez pięć lat bytu swego odbyło krwawą walkę z Austryą, zasilało co rok kilku tysiącami ludzi i broni półki polskie w Hiszpanii. Czémże, wycieńczone z ludzi, miało zasłonić granice swoje w roku 1813., gdy Napoleonowi w tym samym roku z Francyi bogatéj, ludnéj, mającéj 45 milionów dusz, trudno było wyprawić do Niemiec 100,000 wojska, prawie bez jazdy. Pani Dziubińska bardzo nabożna, religijna, posiada zapewne laskę Mojżesza, za któréj uderzeniem w ziemię wyskakują zbrojne zastępy. Takiéj laski czarodziejskiéj nie miał ówczesny rząd Xięstwa warszawskiego, którego Pani Dziubińska, mimo swojéj pobożności, jak zepsuta dewotka, nie wstydzi się potwarzać, zadawać mu krzywoprzysięztwo. Jakto! xiążę Józef Poniatowski, minister wojny, któremu w Krakowie złote góry obiecywano, jeżli się z sprzymierzonymi połączy, który przeniósł śmierć chwalebną nad hańbę, poddał się cesarzowi Alexandrowi wpierw, nim go król Saski od przysięgi uwolnił? Zapomniałaż Pani Dziubińska, kiedy Stanisław Potocki i inni ministrowie i prefekci Xięstwa warszawskiego do kraju wrócili i urzędowanie w nowym rządzie objęli? Pani Dziubińska zdaje się nawet nie wiedzieć, że Stanisław Breza, którego samego tylko od zakały krzywoprzysięztwa wyjmuje, był wziętym w niewolę od wojsk sprzymierzonych, (*) a zatem musiał robić z konieczności cnotę. Daleki wszelako jestem od posądzenia szanownego starca o najmniejszą podłość. Że Polacy wysełali liczne deputacye do cesarza Alexandra, zwycięzcy, nic w tém dziwnego, zwłaszcza, że inicyatiwa w téj mierze wychodziła od Alexandra. Niech tylko Pani Dziubińska zajrzy do pamiętników Ogińskiego. Wreszcie, cóż nienaturalnego w tém, że zwyciężeni prosili zwycięzcę o ochronę? Nie robionoż tak w sąsiedztwie w roku 1806., albo w Wiedniu 1809.?

Pomijam milczeniem inne niedorzeczności w pisemku Pani Dziubińskiéj, ale zastanowić się muszę nieco nad zdaniem zacnego i dobrze krajowi zasłużonego męża, które Pani Dziubińska za dewizę pisma swego położyła. Za czasów restauracyi we Francyi policya nakazała, aby z wszystkich domów nierządnych usuniono wizerunki Ludwika XVIII. Takby postąpić należało z dewizą do pisemka Pani Dziubińskiéj. Hrabia E. Raczyński, ubolewając może nieraz nad naszemi wadami narodowemi, kochał przecież mocno swój naród, a brzydząc się ludźmi, którzy własne gniazdo kalają, oburzyłby się zapewne, gdyby wiedział, że pamięć jego, użyciem w tak niegodny sposób słów jego, została zprofanowaną.

A. N.

Urzędnik za czasów Xięstwa warszawskiego.

(*) Ówczesne Gazety niemieckie donosząc o pojmaniu w niewolę ministra Brezy, dodały: „muß nach Königsberg wandern."

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)